

Eliz na Bornholmie

Moja podróż na Bornholm nie zapowiadała się zbyt obiecująco. Na wiatrach się nie znam, bo i grochówki często nie jadamy, ale tego dnia musiała być chyba czwórka albo piątka. Dęło jak jasny gwint, ale zdecydowaliśmy się wturlać na prom. My - czyli bananowa młodzież, a raczej młodzież owocowo-warzywna, Ich Sześcioro, ja czyli Eliz, mój Luby, Melon, Anka, Gosiek i Rafał zwany Burakiem, ze względu na cery odcień iście alabastrowy.

Rejs był niezapomniany, miał swój klimat. Bujało, jak dzieciaka w wózku pchanego przez matkę z ADHD. Jak w pralce. Bez znieczulenia. Bez trzymanki. Momentami miałam wrażenie, że to nie trasa na Bornholm, tylko na Wielki Bełt, ale co to dla nas! Ludzie dzielili się na trzy kategorie: "jeszcze nie", "już po" i "zachowaj odstęp" czy raczej "podchodzisz na własne ryzyko". Wniwecz przygotowane pieczołowicie rano kanapki! Wniwecz!

Kiedy tak kontemplowałam, co zrobić osobnikowi, który namówił mnie na tę podróż, a w otwór nosowy wwiercał mi się kwaśny zapach, zobaczyłam wreszcie ląd. Eureka! Wybawienie! Tam musi być życie!

Po wyjściu na brzeg czułam się mniej więcej jak wyżuta guma w ustach kłoszarda. "Minął termin twojej przydatności, Eliz", pomyślałam sobie. Wydawało mi się, że umarłam i wylądowałam w niebie. "W mordę trzmiela!" - pomyślałam. Więc to tak wygląda niebo. Wyspę spowijała akurat gęsta mgła, było mroczno i tajemniczo. Te skaliste wybrzeża, te cudne granitowe klify, błękitna woda - istny balsam na moje umęczone podróżą serducho. I te wiatraki, zuchwale zgarniają długimi łapami niebo. No tak, pomyślałam - "Nexo" - czyli w jakimś języku niebo. Więc naprawdę nie żyję... Ratunkuuu!

Z tych transcendentálnych rozmyślań, kiedy to gotowa byłam wylecieć nad poziomy, wybudził mnie budzik, czy raczej zegar biologiczny Melona. Głośne "Jeść mi się chce!" przeszło przestrzeń. Tak oto żołądek kamrata sprowadził nie z powrotem na ziemię. Więc jednak żyję. Żyję, więc jestem. Jestem, więc jem.

Zalogowaliśmy się więc naprędce u gospodarzy, którzy - nie wiedząc, co czynią! - zgodzili się nas przechować przez te dni w gospodarstwie agroturystycznym. Następnie dziki zew żołądków pchnął nas na żer do pobliskiej knajpki. Mijaliśmy przycupnięte obok siebie malutkie domki, wędzarnie ryb, wąskie uliczki, rozpromienionych ludzi. "Nawet jeśli to nie jest niebo, i tak jest bosko" - pomyślałam.

Języka duńskiego nie znam, ale moja osobista teoria na temat tego, jak się dogadać, brzmi tak: próbuj wydawać z siebie poprzekręcane wyrazy z niemieckiego, jak czegoś nie wiesz - wrzuć słowo po angielsku, a w przypadku krytycznym - machaj do skutku rękami i nogami. Prawie się udało!

Znaleźliśmy wreszcie knajpkę. Smakowity zapach strawy polechtał mi nozdrza. Wszystko byłoby kul, czad i super truper, tylko akurat właśnie nie znam duńskiego, a angielski tyle o ile. Towarzystwo zamówili to, co rozszyfrowali, rybki, surówki, szmery-bajery. Stwierdziłam, że zaszaleję i zamówię sobie coś exclusive. Problem był w tym, że nie wiedziałam co to, ale było drogie. "Drogie znaczy dobre!" - pomyślałam i pokazałam paluszkami - "this please".

Mój niezawodny czuj szeptał mi, że to, co śmieje się do mnie z talerza to kluseczki. Dobra nasza!

Potem poturlaliśmy się do kwatery zintegrować się z gospodarzami. Jacy otwarci ludzie! Pomyślałam sobie, że obiektywnie rzecz biorąc bałabym się taką tłuszczyką rozwydrzonych studenciaków spotkać wieczorem na ulicy, a gospodarze - uśmiech od ucha do ucha. Tu ciasteczka, proszę, herbatka, skąd jesteście? W domku jak w pudełeczku, świeżo, porządek, mucha nie siada. Berbecie bawią się w ogródku. Dogadać się można było bez problemu. Angielski? Niemiecki? Mówisz - masz! Wypieki pani domu - pyszne. Ale ja jak zwykle musiałam coś przekombinować. Tym razem zgubiła mnie moja ciekawość. Zapisałam sobie na serwetce nazwę tych kluseczek, po których przyjemne ciepło rozchodziło mi się właśnie po żołądku. "Was ist das?" zapytałam gospodarza podsuwając mu zapisek. "Schnecke... you know, a snail" - usłyszałam. Moja twarz zrobiła się kolejno biała, żółta, jasnozielona, zgniętozielona... potem - brak danych - bo zniknęłam w odmętach ustępu. Odprowadziło mnie tylko echo słów Buraka: "Masz za swoje, ty chodzący przewodzie pokarmowy, ty!"

Następnego dnia, kiedy ożyłam, postanowiliśmy się wybrać rowerami do Ronne. Bajkowo! Te czerwone dachy, port z przytulonymi do niego łódkami, knajpki, pamiątki, żywoploty przycięte równo jak u fryzjera, drewniane okiennice, rybacy, sieci, tu i ówdzie mrućki na murze. Majestatyczny kościółek św. Mikołaja. I rowery, wszędzie rowery! Miasteczko jak malowane! Teatr - najstarszy w całej Danii. Starówka też chwyciła mnie za serducho. A może ktoś wie co to znaczy "szachulcowa zabudowa"? Bo ja nie rozumiem. Tak właśnie jest zbudowana. Kojarzy mi się z szachami i hamulcem, ale nie szkodzi, pożeram Bornholm nie rozumem, lecz sercem! Mniem!

W drodze powrotnej robiliśmy często przystanki, żeby się nachapać tej przyrody, tych widoków, powietrza. Świeże powietrze chyba uderzyło mi do głowy i oszołomiło, bo zaczęłam nawet gadać wierszem...

"Wiatr, co orzeźwia jak spowiedź, mgła, co zasłania mi troski,

to palec boski... ulepił ten raj wprost z błękitu!"

- "Bez kitu!" - skwitował Melon, co u niego znaczy - "zaprawdę!".

Chwilę duchowego uniesienia przerwałam w celu dalszej podróży przez wyspę. Jak pachniały wrzosowiska! A plaża! Piaseczek tak drobny, że ponoć robili z niego klepsydry. Pożerałam te widoki łapczywie wzrokiem, czy też - jak mawia Burak - pingpongami. Nie mogłam się oderwać. Chmury, morze. Błękit. Poezja!

Przez drogę powrotną byłam w bardzo podniosłym nastroju. Czułam jedność ze wszechświatem, czułam się jego częścią. Do czasu. Rozglądałam się na prawo i lewo, nie mogąc nasycić się widokami. Okazało się jednak, że czasem warto spojrzeć pod nogi. Nie mam pojęcia jak to się stało, ale musiałam się zagapić w którymś momencie, ale kiedy się zorientowałam, było już za późno. Mój bocykl z impetem potoczył się w dół, a ja spadłam z siodełka na ramę, podskakując z wigorem aż do momentu bliskiego i bolesnego spotkania z gruntem. Au! Na szczęście towarzysze poskładali mnie do kupy, a ja - po wygłoszeniu kilku nieparlamentarnych fraz - byłam w stanie jako tako dotoczyć się do bazy.

Wróciliśmy do Nexo. Przywitały nas już z daleka widoczne, malownicze, czerwone dachy. Żołądek znów dopominał się o swoje. Wybraliśmy się do knajpki o marynistycznym wystroju. Przytulnie. Żeby trochę zapomnieć o bólu okolic, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, postanowiłam zamówić coś znajomego, coś dobrego. Żeby tylko nie natknąć się znów na podejrzane wydziwasy! "Wybór niedrogi - czas na pierogi" - pomyślałam. Towarisze zatapiaли zębiska w chrupiących dorszykach, ja miałam swoje pierogi jako antidotum na zło tego świata. Nie przewidziałam tylko jednej rzeczy. Pierogi owocowe okazały się być pierogami z jagodami. Pycha! Ale mają swe minusy. Potem kamraci zabrali mnie na przechadzkę sennymi uliczkami. I co? Eliz pozdrawiał wyłaniających się z sennych uliczek przechodniów płomiennym fioletowym uśmiechem tworzącym harmonijny komplet razem z fioletowym guzem wielkości piłeczki pingpongowej na czole. Musiało zapewne wyglądać ciekawie. Jednak w nastroju byłam bardzo zabawowym. Tylko na wszelkie przejawy grzeczności dotyczące miejsca do siedzenia odpowiadałam zalotnie trzepiąc rzęsami: "dziękuję, postoję!". Luby natomiast z nutą zawiedzenia mruczał pod nosem: "Pożytku z ciebie tu żadnego nie ma, nieee!"

Po południu, kiedy właśnie kontemplowałam techniki spania na stojąco, pojawił się pomysł. Trzeba odwiedzić lokalny browarek. Niech i tak będzie. Potoczyliśmy się więc wartko w wyznaczonym kierunku. Piwo - pycha! Atmosfera - portowa. Jakiś bard wygrywał na gitarze przejmujące pieśni. Na początku irytowało mnie nieco, że nie rozumiem przesłania, ale po trzeciej czy czwartej szklanicy lokalnego specyjału było mi wszystko jedno. W głowie trzepotała tylko jedna myśl: "nie zabierajcie mnie stąd! Tu jest pięknie, już będę dobra, tylko nie zabierajcie mnie stąd". Pośladków ból uśmierzył złoty trunek, toteż zasiedzieliśmy się nieco. Zrobiło się ciemno, a morza szum i w głowie szum złąły się w jedno. Potem przerzuciliśmy się na nieco mocniejsze trunki, żeby zdusić żal, że niedługo czas opuścić wyspę. Do dziś nie wiem, co znaczyło pamiętne zdanie Melona: "Wódka mnie napawia".

Droga powrotna do kwatery przebiegła prawie bez ekscesów. Podreptaliśmy nieco po zakamarkach osady na jej obrzeżach, po wąskich uliczkach, zagajnikach. Właśnie mijaliśmy las, kiedy Melon poczuł, że fizjologia bierze nad nim górę. "Za chwilę wracam" - rzucił. Staliśmy i czekaliśmy, aż wynurzą się z lasu zarysy jego pączkowatej figury. Czekamy, czekamy i nic, aż tu nagle jak nie ryknie Melon z otchłani lasu: "TYYYGRYYYS!" Pobiegliśmy na ratunek do lasu. Hm, tygrys...wielkie słowo. No, ale powiedzmy, że w swojej klasyfikacji był blisko. Nie czepiajmy się szczegółów. Miałam dziłą satysfakcję, że tym razem to nie ja wykazałam się niestandardowym zachowaniem, to nie mnie coś się przydarzyło.

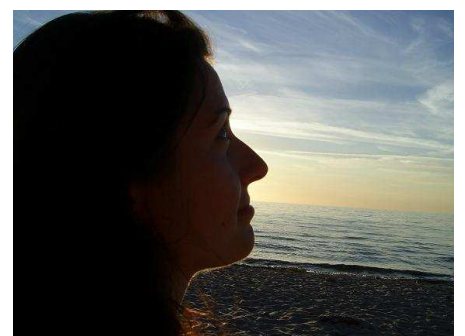
Nasz pobyt na Bornholmie zleciał w okamgnieniu. Urzekła mnie magia tego miejsca, mimo kilku niespodziewanych przygód. Mam nadzieję, że gospodarze dobrze nas zapamiętają, chociaż Melon oczywiście musiał wszystko pomylić i chcąc powiedzieć coś miłego stwierdził, że "you've got beautiful bitches here in Bornholm!" Wszyscy zgodnie obiecaliśmy: "my tu jeszcze wrócimy!!!"



Eliz



Tygrys



Eliz

